

Detektywi na kółkach

Marcin Kozioł

TAJEMNICA PRZEKŁĘTEJ HARFY



bum
cyk
cyk

Kontynuacja lektury dla klas 4-8

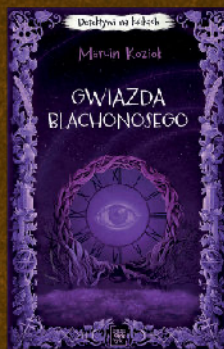
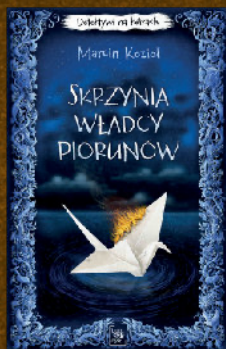
Kryminał, powieść przygodowa, a zarazem nieprawdopodobna, choć w każdym szczególe prawdziwa historia wybitnej znawczyny Egiptu Dorothy Eady.

Detektywi na kotkach – specjalistka od zagadek Julia, biegły w łapaniu szyfrów Tom i labrador Spajk – lecą na wakacje do Egiptu, gdzie trafiają na ślad przemytu. Do ekipy dołączy kocur z nadwagą. Będą musieli stawić czoło groźnym przeciwnikom, by przetrwać na pustyni i odkryć tajemnicę!

Współczesna akcja nieoczekiwanie splota się z historią dziewczynki dorastającej w Londynie na początku XX wieku i egipskiej kapłanki żyjącej ponad trzy tysiące lat wcześniej.

BESTSELLER

Ponad 200 000 egzemplarzy serii



Cena: 49.90 zł

ISBN 978-83-977305-3-3



9 788397 730533

www.bumcykcyk.pl



Fragment książki wpisanej na Złotą Listę
„Cała Polska czyta dzieciom”

Wydawnictwo Bumcykcyk

www.bumcykcyk.pl



Marcin Kozioł

TAJEMNICA PRZEKŁĘTEJ HARFY





– Za co nas zamknęli, na dziką kaczkę? – warczał Spajk, z trudem obracając się w ciasnej klatce.

– Nie wiem, za co siedzisz, stary – zamiauczał Dżager.
– Ale ja sam jestem sobie winny – wyznał kot, wzdychając przy tym głęboko. Oparł pyszczek o pręty różowego pojemnika do transportu zwierząt, wykonanego z twardego plastiku i ozdobionego brokatowymi, mieniącymi się tysiącem barw gwiazdkami. – Do twarzy mi z tymi błyskotkami dla dziewczyn – zamiauczał żałośnie, a jego czarne oczy zaszkliły się.

– Znam cię ledwo od paru godzin, ale nie wyglądasz mi na dzikiego zwierza, futrzaku. Ani na groźnego, ani złośliwego. Co przeskrobałeś, że wsadzili cię za kratki? A może siedzisz jak ja „za niewinność”? – dopytywał się z nudów Spajk.

Labrador Spajk, zwany też Biskoptem, nie potrafił zbyt długo usiedzieć beczynn timer, zatem rozmowa z kotem, która, jak dobrze wiedział, raczej nie przystoi labradorom, wydawała mu się najlepszym sposobem na zabicie czasu.

– No mów, futrzaku. Wygadaj się. Czasami warto wyrzucić z siebie to, co leży na wątrobie – ciągnął Biskopt.

Obydwaj poczuli lekkie drżenie podłogi, ale nie przejęli się tym specjalnie. Przynajmniej nie na tyle, by wyrwać kota z zadumy i melancholii.

Dżager raz jeszcze westchnął głęboko.

– Za kotlety. Dwa i pół kotleta, konkretnie miauczając.

– Jak to? Zjadłeś i za to cię zapuszkowali?

– No.

– Co ty miauczysz, futrzaku?

– Miauczę całą prawdę – odpowiedział od niechcenia Dżager.

Wpatrywał się osowiały w majaczącą w głębi pomieszczenia zieloną lampkę z napisem: „Wyjście ewakuacyjne”.

– Zjadłeś komuś kotlety? – Spajk nadal nie bardzo rozumiał wyznania kota.

– Nie komuś. Zjadłem sobie.

– I za to cię zamknęli?

– Za obżarstwo. Obżarstwo obrzydliwe. Och, jak ja siebie nie znoszę. Nie znoszę. I dobrze mi tak teraz. Apetyt nieposkromiony i tyłek rośnie jak na drożdżach. No popatrz sam. Widziałeś kiedyś innego mainkuna z taką wielką pupą?! Tylko Dżager mógł sobie coś takiego ufundować! – złościł się na siebie zdruzgotany kot.

– No, całkiem ładne krągłości. – Biskopt chciał być miły dla współwężnia z sąsiedniej klatki, ale szybko zdał sobie sprawę, że zabrzmiało to wyjątkowo niestosownie. – Wiem, wiem. Gdybyś był kocicą, to pewnie łatwiej byłoby ci przyjąć tego rodzaju komplement.

– Odszczekaj to lepiej, szczeniaku! – wzburzył się nie na żarty kot, choć zdawał sobie sprawę, że pies chciał być po prostu miły.

– No dobra. Odszczekuję. Ale wyjaśnij, o co w tym wszystkim chodzi. Zamknęli cię za zjedzenie kotletów? Za zbyt dużą pupę?

– Za nadwagę!

– Nadwagę?! – zdziwił się labrador.

– Konkretnie pół kilo.

– Czego?

– Tłuszczu – wyznał kot.

– I od razu do puszki wsadzili?

– Nie od razu.

– A kiedy?

– Na lotnisku przy odprawie bagażowej.

– Jak to?

Biskopt był zaintrygowany, bo i jego w podobnych okolicznościach wsadzili do klatki. Tyle że nie miał zbyt dużej pupy ani nadwagi, choć bardzo lubił swoje chrupkostki i jego przyjaciółka Julia spakowała dla niego spory ich zapas na czas podróży samolotem.

– Zwyczajnie. Zważyli. I już. Powiedzieli, że osiem i pół kilo, o pół kilo za dużo. I że muszą mnie zabrać. Do paki muszą wsadzić. Do luku. Do zwykłego luku bagażowego. Zamiast wygodnie podróżować przy mojej pani Lotte Vandenberg w kabynie pasażerskiej, w pierwszej klasie, jak na porządnego kota przystało. Może też bym siedział w tym różowym domku, który Vandenberg pożyczyła dla mnie od swojej kuzynki, miłośniczki tchórzofretek. Ale przynajmniej podróżowałbym z klasą. A nie jak dzikie zwierzę, w luku, w półmroku, z biskoptowym labradorem w jednej celi... Tylko bez urazy, szczeniaku.

– Współczuję – nieco zgryźliwie mruknął Spajk.

On w końcu też był uwięziony. W metalowej ciasnej klatce. W luku bagażowym. I jeszcze bardziej zaskoczony swoim losem niż kot. Dotąd zawsze latał z Julią samolotami w kabinie pasażerskiej. Jako pies asystujący czternastolatki poruszającej się na wózku zawsze mógł podróżować obok niej, na dodatek bez klatki czy kagańca. Wystarczyło, że miał założoną smycz, na wszelki wypadek. I tak wiadomo było, że dobrze wyszkolony pies asystujący, o tak wyjątkowym charakterze i inteligencji, nie stanowi zagrożenia dla nikogo na pokładzie.

Tym razem jednak linie lotnicze stanęły okoniem. „Przepraszamy, pani Julio, ale na pokładzie jest pasażerka, która nie życzy sobie obecności zwierząt. Pani Vandenberg ma alergię na psią sierść. I boi się dużych zwierząt. Pies musi lecieć w luku”, tłumaczył pracownik lotniska podczas odprawy bagażowej. Na nic zdały się protesty Julii. Nie i już. Spajk słyszał, co ów człowiek mówi, ale zupełnie nie mógł pojąć, za co spotyka go taka zniewaga. Z zaplecza przyniesiono metalową klatkę, przymierzono i mimo nieśmiałych protestów Biskopota zaproszono go do jej środka.

– Vandenberg. Vandenberg! – zaszczekał Spajk. – Gdzieś już słyszałem to nazwisko. To przez twoją paniusię tu siedzę, futrzaku. – Zazgrzytał zębami, aż Dżagerowi zjeżyło się futro na karku. – Twoja paniusia ma alergię, co? I w dodatku boi się dużych zwierząt! Ma rację. Na twoim miejscu też bym zaczął się ich bać.

Podłoga w samolocie znowu zadrżała. Tym razem jednak na tyle mocno, że i Dżager, i Spajk lekko podskoczyli wraz ze swoimi klatkami.



– Nie znoszę samolotów. Nie znoszę samolotów. O jak ja nie znoszę latać – recytowała pod nosem pasażerka pierwszej klasy, kurczowo trzymając się przy tym fotela i mrużąc oczy.

– Proszę się nie bać... – wyszeptała Julia, zajmująca sąsiednie miejsce w pierwszym rzędzie za kabiną pilotów. – To tylko lekkie turbulencje. Zupełnie normalne. Nic nam nie grozi, proszę pani – uspokajała troskliwie współpasażerkę.

– Ależ co ty mówisz, dziecko. Proszę dać mi spokój – odburknęła i recytowała dalej: – Nie znoszę samolotów. Nie znoszę...

– Jak pani sobie życzy. Ale naprawdę nie ma czego się bać. Zapewne wlecieliśmy z jednego prądu powietrza w drugi, w którym kierunek i prędkość wiatru były inne. Dlatego czujemy drobne wstrząsy. Wystarczy mieć zapięte pasy...

– Pasy, pasy, pasy! Czy ja mam zapięte pasy? – Kobieta niczym rażona piorunem chwyciła metalową sprzączkę na brzuchu, upewniając się, że jest dobrze zamknięta.

Po chwili wstrząsy ustały, a samolot znowu delikatnie przecinał masy powietrza nad Morzem Śródziemnym, cudownie

mieniającym się tysiącem barw w popołudniowym słońcu. Mogło się wydawać, że ktoś posypał brokatem błękitną taflę wody.

– Błyszczysz się jak klatka mojego kocura – wymamrotała do siebie kobieta, która po nagłym ataku paniki przez dłuższą chwilę tępo wpatrywała się w morze przez małe owalne okienko.

Towarzyska czternastolatka od razu pomyślała, że wcześniej przerażona i niezbyt sympatyczna współpasażerka wreszcie uspokoiła się i próbuje zagaić sympatyczną rozmowę.

– Ślicznie. Jakbym nie wiedziała, że lecimy do Egiptu, mogłabym pomyśleć, że zbliżamy się do Lazurowego Wybrzeża, które też bardzo chciałabym...

Kobieta odwróciła się w stronę Julii i przeszyła ją świdrującym spojrzeniem. Tak zimnym, że dziewczyna nie zdołała dokończyć zdania, bo słowa wydawały się zamarzać w ustach.

– Przepraszam. Pewnie obraziłam panią straszliwie, bo się nie przedstawiłam – ubolewała dobroniuszka nastolatka, chwytając się za głowę. – Mam na imię Julka. A tam z tyłu, o tam, proszę zobaczyć, macha do nas mój przyjaciel Tom. Tuż za nim siedzą jego rodzice i moja mama. Pierwszy raz wszyscy razem jedziemy na wakacje. Brakuje tu tylko Spajka, bo... – nie przestawała radośnie świergotać Julka, nie zwracając uwagi na nadal chłodne spojrzenie pasażerki.

– Vandenberg – wyrzuciła z siebie królowa lodu, przerywając potok słów wypływający z ust dziewczyny.

– Przepraszam. Nie dosłyszałam... – Julka była zaskoczona zwięzłością wypowiedzi, ale też szczerze uradowana, że w końcu udało jej się skłonić kobietę do mówienia. Zupełnie nie zwróciła uwagi, że już dzisiaj słyszała to nazwisko. Przy

odprawie bagażowej, kiedy biednego Spajka linie lotnicze skazały na podróż w luku bagażowym ze względu na widzimisię jakiejś pasażerki, panikary i alergiczki zarazem.

– Vandenberg. To moje nazwisko. Lotte Vandenberg.

– Miło mi, pani Van...!

– Panno Vandenberg. Tak się składa, że jestem panną. – Skrzywiła się, jakby wszyscy powinni wiedzieć, że nie ma i nigdy nie miała męża. – A czy teraz mogę w końcu odpocząć, młoda damo? – wycedziła, nie odwracając się już w stronę Julki.

Nacisnęła przycisk, by fotel odchylił się i upodobił do wygodnego szezlonga. Nie czekając na odpowiedź dziewczyny, zsunęła z czoła czarną opaskę i zasłoniła nią oczy. Z wewnętrznej kieszeni czarnej marynarki wyciągnęła parę zatyczek do uszu. Nie zdążyła ich jednak założyć.

Samolot zatrząsł się niespodziewanie i przez chwilę zdawał się podskakiwać niczym samochód terenowy na wertepach.

Bum!

Huk dobiegający z luku bagażowego znajdującego się pod pokładem sparaliżował pasażerów zdecydowanie bardziej niż gwałtowne i nieoczekiwane turbulencje.

– Spajk! – krzyknęła Julka, zaniepokojona hałasem dobiegającym z miejsca, gdzie podróżował jej biszkoptowy przyjaciel.

Vandenberg najpierw zeszywniała, po czym kiedy upewniła się, że to nie jest jeszcze żadna katastrofa i świat się nie kończy, wykrztusiła: „Moja klatka!”.

3

– Co to było? – prychnął Dżager, a długie włosy na jego grzbiecie nastroszyły się niczym grzywa. W pomieszczeniu oszczędnie oświetlonym ledwie dwoma bladoniebieskimi świetlówkami przypadkowa osoba mogłaby z powodzeniem pomyśleć, że w różowej klatce, przytwierdzonej do półki pasem z dwiema małymi sprzączkami, podróżuje młody lew.

– To chyba jeszcze nie koniec świata – wymamrotał Spajk, obserwując trzeszczącą konstrukcję pomieszczenia pod głównym pokładem samolotu.

Podłoga w luku bagażowym znowu zadrżała. Tym razem jednak na tyle mocno, że wszystkie lżejsze przedmioty podskoczyły.

Cyk! Cyk!

Cichy metaliczny dźwięk przedarł się przez szum silników i hałas podskakujących przedmiotów. Spajk postawił uszy i spojrzał do góry.

Cyk! Cyk!

Sprzączka otworzyła się cichutko, a pas przytrzymujący różową klatkę kocura zsunął się niespiesznie z półki prosto na stojącą na podłodze dużą klatkę labradora.

– Na dziką kaczkę! Będzie niezła draka, jak futrzak nauczy się latać w swoim różowym... – Nie zdążył dokończyć.

Samolot zadrżał raz jeszcze, przechylając się przy tym na lewą stronę. Po sekundzie, a może dwóch, które zdawały się trwać wiecznie, samolot ustabilizował lot, ale to wystarczyło, by bagaże w nieoświetlonej części luku po-przewracały się na siebie jak kostki domina, robiąc przy tym sporo huków.

Szus!

– No i futrzak po-le-ciał! – wydusił z siebie Spajk, zasłaniając odruchowo łapami głowę – tak na wszelki wypadek, gdyby jego solidna klatka nie ochroniła go przed różową bombą przyozdobioną brokatowymi gwiazdkami.

Osiem i pół kilograma materiału wybuchowego zamkniętego w różowej bombie zamiauczało rozpaczliwie.

– Lecę na ciebie, szczeniaku!

Trzask!

Plastikowy domek rozprysł się na drobne części, spadając z półki dobre półtora metra i roztrzaskując się o metalową konstrukcję klatki labradora.

Spajk tuż nad sobą zobaczył rozpląszczoną futrzaną postać leżącą na suficie psiej klatki, z pyszczkiem wciśniętym siłą uderzenia między pręty...

– Futrzaku! Futrzaku!

Kot nie odpowiadał.

– Futrzaku! Żyjesz?

Kocur leżał na wierzchu metalowej klatki, obejmując ją szeroko rozłożonymi łapami. Teraz nie wyglądał już jak lew. Bardziej przypominał wielką latającą wiewiórkę, która dzięki rozpiętym między przednimi i tylnymi łapkami fałdom skóry potrafi szybować nawet kilkadziesiąt metrów. Tyle że ta wiewióрка nie zaliczyła miękkiego lądowania.

– Daj znać, że żyjesz!

Ale kot ani drgnął. Nie mrugnął nawet okiem, nie miauknął...

Samolot przestał drżeć, ale pomieszczenie wypełniał nieprzyjemny półmrok. Jedna ze świetlówek podczas turbulencji zgasła, a druga dawała bladoniebieskie światło, na dodatek gasnąc i zapalając się, jakby jakieś złośliwe dziecko bawiło się przełącznikiem.

Zapadła cisza.

Kiedy Spajk zwątpił już, że Dżager żyje, pędzelki na końcu uszu mainkuna, podobne do tych, którymi może pochwalić się ryś, zawibrowały.

Ba, nie tylko one. Cały samolot zadrżał, jakby umęczeni pasażerowie nie mieli już dość turbulencji.

– O, na dzisiaj mam już dość latania – niespodziewanie zamiauczał Dżager, a pędzelki na końcu uszu, a potem całe uszy zaczęły się poruszać energicznie, jakby kocur miał nadzieję, że trzepocząc i wirując, pozwolą mu unieść się w powietrzu, czyniąc z niego heli-kot-er.

– Na dziką kaczkę! Ależ mi strachu napędziłeś, futrzaku!
– zaszczeakał radośnie Biszkopt.

Kocur z trudem wyciągnął pyszczek unieruchomiony między prętami klatki i powoli podniósł rozplaszczone ciało, przybierając na powrót kształt, jaki zazwyczaj mają domowe

koty. Fałdki, które przez chwilę upodabniały Dżagera do latającej wiewiórki, okazały się prozaicznymi wałeczkami tłuszczu, a nie efektem ewolucji i narzędziem ułatwiającym szybowanie.

Wielki, gruby ogon zwiślał jeszcze bezwładnie, ale kiedy oszołomiony kocur zdołał poruszyć jego końcem, zamiauczał radośnie:

– Miałabyś babo placek, droga Vandenberg! Ale ja z siebie placka zrobić nie dam. Może i parę kilo mi przybyło, może tym sobie na zapuszkowanie zasłużyłem, ale nadal jestem zwinny niczym... – Słowa ugrzęzły mu w gardle.

Patrząc triumfalnie na wrak swojej latającej klatki, Dżager dostrzegł płaski biały przedmiot pomiędzy różowymi fragmentami. Zeskoczył zwinnie z klatki Biszkopta i zaczął rozgrzebywać stertę plastikowych elementów.

Oczy go nie myliły.

Roztrzaskana podstawa klatki złożona była z dwóch warstw różowego plastiku. Pomiedzy nimi coś ukryto...

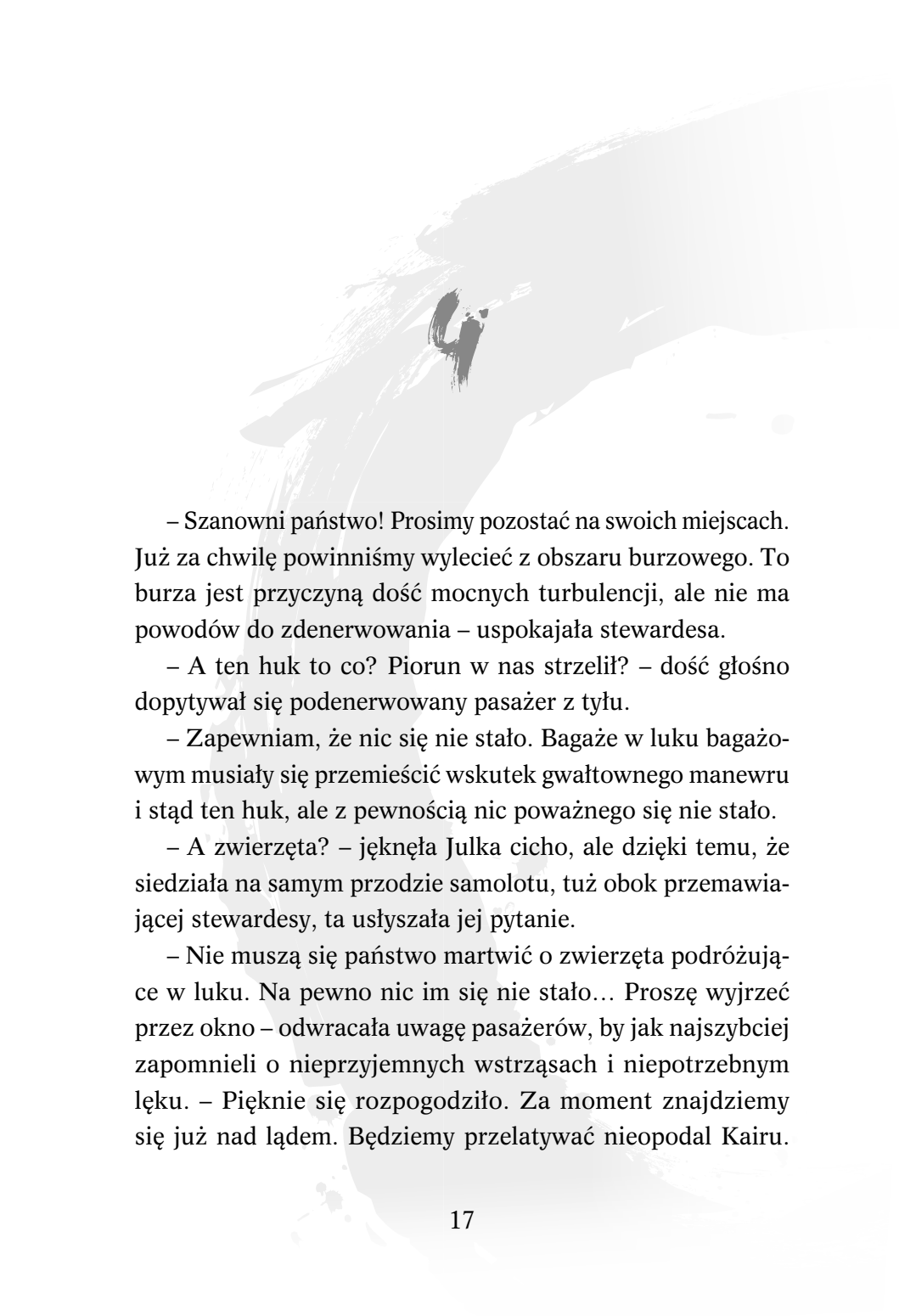
– Co tam masz? – zapytał Spajk, który nie mógł nic dostrzec ze swojej klatki. Raz po raz zapalające się na sekundę i znowu gasnące światło uszkodzonej jarzeniówki nie pomagało w rozwikłaniu zagadki.

Wprawdzie tak jak inne psy dobrze widział w ciemności, jednak nie tak dobrze jak koty. Błona odblaskowa w psich i kocich oczach, nazywana makatą, zwiększa wrażliwość na światło poprzez jego lepsze odbicie, a przy okazji sprawia, że oczy wydają się świecić w mroku. Kocie oczy odbijają światło nawet sto trzydzieści razy lepiej niż ludzkie. W tej dyscyplinie wygrywają też z psami.

– No, mów, co znalazłeś, futrzaku! – niecierpliwił się Biskopt.
Kocur nie spieszył się jednak z odpowiedzią.

Po chwili namysłu, jakby nie mogąc zaakceptować tego, co widział, zamiauczał:

– To nie ja. Ktoś mi to podrzucił!



– Szanowni państwo! Prosimy pozostać na swoich miejscach. Już za chwilę powinniśmy wylecieć z obszaru burzowego. To burza jest przyczyną dość mocnych turbulencji, ale nie ma powodów do zdenerwowania – uspokajała stewardesa.

– A ten huk to co? Piorun w nas strzelił? – dość głośno dopytywał się podenerwowany pasażer z tyłu.

– Zapewniam, że nic się nie stało. Bagaże w luku bagażowym musiały się przemieścić wskutek gwałtownego manewru i stąd ten huk, ale z pewnością nic poważnego się nie stało.

– A zwierzęta? – jęknęła Julka cicho, ale dzięki temu, że siedziała na samym przodzie samolotu, tuż obok przemawiającej stewardesy, ta usłyszała jej pytanie.

– Nie muszą się państwo martwić o zwierzęta podróżujące w luku. Na pewno nic im się nie stało... Proszę wyjrzeć przez okno – odwracała uwagę pasażerów, by jak najszybciej zapomnieli o nieprzyjemnych wstrząsach i niepotrzebnym lęku. – Pięknie się roz pogodziło. Za moment znajdziemy się już nad lądem. Będziemy przelatywać nieopodal Kairu.

Zobaczą państwo, jak wielkim miastem jest stolica Egiptu. Przelecimy też nad Gizą i przy odrobinie szczęścia będą państwo mogli dostrzec słynne piramidy. A potem już tylko krótki lot na południe wzdłuż wspaniale prezentującego się Nilu, najdłuższej rzeki Afryki, liczącej niemal sześć tysięcy siedemset kilometrów.

– To też jedna z dwóch najdłuższych rzek na całej Ziemi. Płynie przez Egipt, Sudan i kilka innych państw aż do Burundi – dopowiadała cicho Julka, zwracając się do milczącej Vandenberg. – Do niedawna uważano, że to Nil jest najdłuższą rzeką. Amazonkę w Ameryce Południowej stawiano na drugim stopniu podium. Jednak coraz częściej mówi się, że Amazonka jest od Nilu o prawie czterysta kilometrów dłuższa. Ale ja wolę myśleć, że to Nil jest najdłuższą rzeką świata... – Julka spojrzała na pannę Vandenberg, ale ta zdawała się nie słuchać. Mało tego, zdawała się nie oddychać. O tym, że chyba jednak żyje, świadczyły tylko drżące małe paluszki obu dłoni. Pozostałe palce były wbite głęboko w oparcie fotela.

– Pani Vandenberg! Pani Vandenberg! – Dziewczyna szarpnęła delikatnie ramię współpasażerki, ale nic to nie dało. Zwróciło jednak uwagę stewardesy.

– Czy dobrze się pani czuje? – spytała stewardesa, nachylając się nad zeszywniałym ciałem Vandenberg.

Wtem małe paluszki przestały drgać, a długie szpony rozprostowały się, pozostawiając wyraźne ślady w oparciu. Mało tego, cała zeszywniała sylwetka w mgnieniu oka zgięła się w pół, przy czym ani dolna, ani górna część ciała nie straciła wiele na sztywności. Gdyby nie to, że dotąd Vandenberg niemal leżała na swoim wychylonym do tyłu fotelu, a teraz po prostu

gwałtownie usiadła, można by powiedzieć, że na skinienie niewidzialnego generała wykonała komendę: „baczość!”.

Uniosła szpony i podciągnęła na czoło opaskę zasłaniającą oczy. Kanciastymi ruchami kościstych rąk wyciągnęła z uszu zatyczki chroniące ją przed dźwiękami otoczenia. Dopiero teraz odlepiała swój trupi wzrok od ściany i spojrzała najpierw na stewardesę, a kiedy zdążyła zamienić ją wzrokiem w słup lodu, popatrzyła groźnie na siedzącą obok Julkę.

– Cze-go pa-nien-ka ode mnie chce?! – cedziła przez zęby wściekła Vandenberg. – Najpierw turbulencje, potem burza, potem jeszcze większe turbulencje, hałas, nie wiadomo, co się tam na dole porobiło, a teraz gadatliwa sąsiadka nie pozwala mi na chwilę medytacji w oczekiwaniu na lądowanie.

– Prze-przepraszam, przepraszam – wyjąkała Julia, która tylko troszczyła się o zdrowie współpasażerki i w żadnym wypadku nie przeszkadzałyby jej w odpoczynku, gdyby nie to, że przeszło jej przez myśl, że może to być odpoczynek wieczny.

– Żądam, byście ją przesadzili! – złościła się Vandenberg, kierując znowu swój zimny wzrok w stronę stewardesy. – Natychmiast! Nie będę dłużej siedzieć obok tej dziewczyny!

– Proszę wybaczyć, ale jeśli pani dotąd nie zauważyła, ta pasażerka porusza się na wózku – spokojnie tłumaczyła stewardesa – i niełatwo będzie nam znaleźć dla niej inne odpowiednie miejsce.

– Tak, tak. To tylko tak wygląda, że siedzę na fotelu zupełnie zwyczajnie, jak pani i każdy inny pasażer. Tymczasem mój aluminiowy czterokołowiec jest przewożony z bagażami. Prawdziwy wiking! – Uśmiechnęła się, jakby nie pamiętając

o impertynenckim zachowaniu pasażerki, a Vandenberg znowu się skrzywiła. – Mam na myśli to, że mój czterokołowiec avantgarde to model CLT wiking... Aaa, i mam też kochanego biszkoptowego labradora Spajka, który mi pomaga...

– Czy ty, dziecko, nie możesz w końcu przestać mówić?!
– przerwała jej Vandenberg.

Korzystając z tego, że pilot wyłączył sygnalizację, nakazującą pasażerom siedzenie w fotelach z zapiętymi pasami, do fotela Julki niepostrzeżenie zbliżył się wysoki piętnastolatek.

– Tom, Tom! Dobrze, że jesteś – uradowała się Julia.

Uśmiechnął się życzliwie i położył dłoń na ramieniu przyjaciółki.

– Czy mogę w czymś pomóc? – skierował pytanie nie tyle do dziewczyny, co do jej niepotrzebnie poirytowanej sąsiadki i nieco bezradnej stewardesy.

– Dobrze by było, gdybyś zabrał przyjaciółkę do swojej drugiej klasy. – Vandenberg zaakcentowała wyraźnie słowo: „drugiej”. – Jak widzę, dobrze się znacie i na pewno nie będzie ci, chłopcze, przeszkadzać gadulstwo towarzyszeki.

– Tak, jesteśmy przyjaciółmi – wykrztusiła Julia. – Ale...

Chłopiec przerwał jej, delikatnie ściskając ramię.

– Chętnie oddam pani moje miejsce – zaproponował Tom uprzejmie.

– W drugiej klasie? – oburzyła się Vandenberg. – Chyba nie wiesz, z kim rozmawiasz. Vandenbergowie nie podróżują drugą klasą. Od trzech pokoleń prowadzimy antykwariaty, z których korzystają najznamienitsi kolekcjonerzy na całym świecie. Nasze historyczne mapy uświetniają kolekcje wielkich muzeów i niejednego prezydenckiego gabinetu.

– Pozwoli pani, że tak znakomitemu gościowi zaproponuję odpowiednie miejsce. – Stewardesa starała się okiełznać zacierzwioną pasażerkę. – To fotel prezydencki. – Wskazała Vandenberg miejsce w tym samym rzędzie, ale po drugiej stronie kadłuba, identyczne jak to, które zajmowała obecnie. – Doskonale rozumiemy pani zdenerwowanie i szanujemy pani pozycję. Dlatego ośmielam się zaoferować fotel, który zwykle zajmują głowy państw. Nie dalej jak wczoraj leciał na tym miejscu prezydent... oj, protokół dyplomatyczny nie pozwala mi zdradzić, jakiego państwa, ale może mi pani wierzyć na słowo, że była to znamienita postać. Może zechce pani zająć to miejsce.

Vandenberg nieoczekiwanie rozchmurzyła się, zapominając o niepotrzebnym wzburzeniu, turbulencjach i strachu przed lataniem. Kiwnęła głową, przyjmując propozycję.

Stewardesa odetchnęła z ulgą, a gdy Vandenberg gramoliła się na swoje nowe miejsce, odwróciła się do Julki i Toma, by mrugnąć do nich porozumiewawczo.

– Niezły podstęp! – wyszeptała Julka.

– Przynęta złapała haczyk – przytaknął Tom. – Najważniejsze, że udało się załagodzić konflikt z trzema pokoleniami Vandenbergów – roześmiał się szczerze.

Z głośników dobiegł głos kapitana: „Szanowni państwo. Proszę zająć swoje miejsca i zapiąć pasy. Za kwadrans lądujemy na lotnisku w Luksorze. Mamy upalny dzień, temperatura trzydzieści sześć stopni Celsjusza, wilgotność powietrza trzydzieści procent. Tymczasem zachęcam do podziwiania wspaniałego widoku na Wādī al Mulūk – Dolinę Królów”.

5

Słońce nad Doliną Królów nie dawało chwili wytchnienia ani zwykłym ludziom, ani kapłanom, ani samemu faraonowi, władcy wielkiego egipskiego imperium rozciągającego się od nieprzyjaznych pustyń krainy zwanej Nubią po żyzną deltę Nilu i Morze Śródziemne na północy.

Choć wierzono, że każdy faraon był nie tylko władcą, ale i bogiem na ziemi, synem wielkiego Ra, boga Słońca i stwórcy świata, nawet on nie mógł nic poradzić na nieznosny skwar. Słońcu rozkazywać nie mógł i nie potrafił.

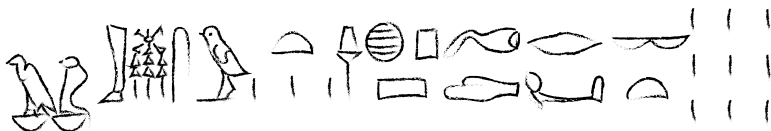
Przed trzydziestoma trzema wiekami Egiptem władał Seti Pierwszy. Faraonowie nosili wiele imion. Oprócz imienia własnego od urodzenia nazywano ich Synami Ra, a po wstąpieniu na tron otrzymywali też imię tronowe. Tytułowano ich *nesut biti*, czyli „ten, który związany jest z trzcina i pszczołą”, bo symbolem Górnego Egiptu była pszczoła, a Dolnego – trzcina. Od razu wszyscy wiedzieli, że to król Górnego i Dolnego Egiptu, zjednoczonych krain, które – chyba dla żartu i na złość autorom map – nosiły nazwy

„do góry nogami”. Górny Egipt leżał bowiem na południu, a Dolny na północy.

Otrzymywali też tytuł *nebti*, czyli Dwie Panie, dzięki któremu faraon trafiał pod opiekę patronek obu części Egiptu: bogini Nechebet – sępicy z rozpostartymi skrzydłami, i bogini Uadżit – atakującej kobry. Połączone ze sobą w jedno stworzyły postać Ureusza, symbol zjednoczenia egipskiego imperium i potęgi władzy boskiej. Była to postać równie piękna, co przerażająca, z głową sępa i tułowiem kobry, której wizerunki zdobiły korony i diademy za życia faraona, a po śmierci strzegły jego sarkofagu.

Nie dość tego! Imiona i tytuły faraonów wzbogacano o niezliczone słowa sławiące ich siłę i władzę. Pisarze utrwalali je na papirusach i kamiennych płytach hieroglifami, czyli pismem obrazkowym.

Seti spojrział na niedokończoną kamienną płytę, mającą zapewne upamiętnić jakieś dokonania władcy. Na razie znalazło się na niej tylko to jedno z jego imion. I nic więcej. Rzemieślnik być może porzucił w pośpiechu miejsce pracy, nie spodziewając się wizyty samego władcy.



– Ten, który odnawia narodziny, ma silne ramię i gromi
dziesięć łuków! – odczytał na głos władca. – Piękne imię. Co
historia napisze dalej? – pytał siebie zadumany.

Położył dłoń na niepokrytym jeszcze hieroglifami fragmencie płyty, jakby opuszkami palców chciał wybadać, czy jednak nie kryje się tam jakaś historia, zapowiedź tego, co ma się w jego życiu wydarzyć, a co sprytny rzemieślnik ukrył przed chciwym wzrokiem władcy. Szybko jednak oderwał dłoń od nagrzanego w ostrym słońcu wapienia, sycząc z bólu.

– Wciąż zapominam, że moja władza, choć potężna jak kraj długi i szeroki, nie sięga aż tak wysoko. – Opuścił głowę, nie ośmielając się spojrzeć na słońce.

Spacerował właśnie po ogrodach sąsiadujących z okazałą świątynią w dużym mieście zwanym wtedy Abdzu, nie przeczuwając, że trzy tysiące lat później o wielkości i znaczeniu tych okolic będą przypominać tylko pozostałości świątyni, a miasto zmieni się w wioskę nazywaną dzisiaj Abydos.

Pot spływał po jego czole. Niestosowne to jak na boga, ale zwyczajne dla człowieka, zwłaszcza przy takim upale. Kiedy usłyszał głosy ludzi wychodzących z jednej z siedmiu kaplic poświęconych egipskim bogom, które składały się na okazałą wapienną świątynię, czym prędzej schronił się w cieniu figowca – przed słońcem i wzrokiem nieproszonych gości.

Głosy zbliżały się coraz bardziej, zbyt radosne i rozszczebiotane jak na pełną powagi świątynię, którą Seti Pierwszy ufundował dla uczczenia bogów i najznamienitszych faraonów – na jej kamiennych ścianach kazał uwiecznić imiona siedemdziesięciu sześciu władców Egiptu.

„Co to za nieestosowne śmiechy?” – miał to już na końcu języka, gdy przypomniał sobie, że nie bez powodu ukrył się w cieniu drzewa. Zmęczony spacerem i upałem nie wyglądał dość dostojnie, by pokazywać się zwykłym poddanym. Pozostał

więc w ukryciu i tylko patrzył, obmyślając surową karę dla wesołków.

Cztery młode kobiety chichotały cichutko, ale zbyt głośno, by w tak spokojnym miejscu mogło pozostać to niezauważone. Minęły daktylowce, potem przeszły wzdłuż rzędu drzew granatu, zanim dotarły do fig, wśród których ukrył się faraon, i skręciły w alejkę prowadzącą do środkowej części ogrodu.

W samym jego sercu znajdowała się niewielka prostokątna sadzawka otoczona oleandrami i upiększona z dwóch stron dywanem z kwiatów mandragory, karłowatych chryzantem i czarujących albo raczej zaczarowanych mimoz, które pod wpływem nawet najdelikatniejszego dotyku zwijają swoje zielone listki, jakby chciały schować się przed drapieżnikiem.

Dziewczyny nie miały więcej niż czternaście lat. Wesołość i gadatliwość, choć na pewno nieprzystająca do tego miejsca, bywa czymś zwyczajnym dla osób w tym wieku. Serce faraona nieco złagodniało, kiedy zrozumiał, kim są wesołkowie.

Trzy dziewczyny poszły dalej w stronę drugiego wyjścia z ogrodu. Jedna z nich pożegnała się i przycupnęła na wapienym brzegu sadzawki, wpatrzona w lazurową taflę.

Po chwili odwróciła się gwałtownie, zapewne dosłyszawszy jakiś niepokojący dźwięk, i dostrzegła stojącego za nią faraona. Zesztywniała. Skurczyła się w sobie. Gdyby była mimozą, pewnie złożyłaby błyskawicznie wszystkie listki, by pozostać niezauważoną i jak najmniej narażoną na atak.

Surowy władca, który miał wygłosić łagodniejszą, niż pierwotnie planował, ale jednak solidną reprimendę, dopiero teraz mógł w pełni zobaczyć twarz dziewczyny.

Zaskoczona, niemal przestała oddychać, po chwili jednak dygnęła, chcąc wyrazić szacunek dla władcy. Mimowolnie wykonała przy tym jakiś wymyślny i tak nieporadny gest, że roześmieszyla władcę, tym samym odganiając czarne chmury, które od kilku minut zbierały się nad jej głową mimo słonecznego popołudnia.

– Czy wiesz, kim jestem? – zapytał udobruchany faraon.

6

– Żeby z porządnego kota zrobić przemytnika! Jak można być tak niewdzięcznym?! Jak można? Hańba! – miauczał wściekły i rozżalony kocur.

– Uspokój się – szczeknął labrador. – Może to przypadek. I nikt nie chciał cię w coś takiego wrobić...

– Przypadek? Jaki przypadek? Vandenberg zrobiła ze mnie przemytnika. To dlatego zabrała mnie na wakacje do Egiptu. A już myślałem, że jej się w głowie poukładało. Że zabiło serce do sierściucha po tylu latach wiernego wygrzewania jej fotela.

– Nie wyciągaj pochopnych wniosków.

– Pochopnych? – oburzył się kocur. – Szczeniaku, wyobraź sobie, że nie wszystkie panie są takie jak twoja, jak ją nazwałeś... Julia. Moja to inny gatunek człowieka.

– Nic nie rozumiem. Ludzie to przecież jeden gatunek – dziwił się Spajk, który choć zazwyczaj w lot łapał metafory, tym razem zupełnie nie mógł pojąć, co kot miał na myśli. Może dlatego, że wiązała go z Julią prawdziwa przyjaźń.

– Oj, widzę, że ty naprawdę nic nie rozumiesz. Ojciec mówił mi, że psy nie dorównują kotom inteligencją. Ale długo nie chciałem mu wierzyć... – ugryzł się w język, widząc wyszczerzone kły labradora.

Spajk warknął, ale Dżager dobrze wiedział, że uszczypliwości ujdą mu na sucho. Biskoptowy labrador nadal był przecież zamknięty w klatce. Poza tym nie sprawiał wrażenia, że może wyrządzić krzywdę towarzyszowi podróży. Nawet jeśli był nim dość zgryźliwy kocur.

– Darujmy sobie, futrzaku. Do rzeczy! – zakomenderował Spajk. – Miaucz, o co ci chodzi...

– A to proste. Vandenberg kupiła sobie eleganckiego kota medalistę... Oczywiście mam na myśli siebie. – Spojrzał na Biskopta, czy ten od razu domyślił się, o kogo chodzi.

Pies przytaknął, choć tracił już cierpliwość.

– Dawała jeść. Pozwalała wygrzewać fotel pod swoją nieobecność – ciągnął kocur. – Zabierała nawet do fryzjera. Ale chyba tylko po to, żeby nie spalić się ze wstydu, że kot medalista chodzi nieuczesany. Bo przecież nie z troski. Całymi dniami siedziałem sam w domu, a kiedy wracała wieczorem, nie mogłem liczyć na odrobinę uczucia. O podrapaniu za uchem mogłem tylko pomarzyć. Na wakacje też jeździła sama, a mnie podrzucała do hotelu dla kotów...

– Hotelu dla kotów? – zdziwił się Spajk.

– No, wiem, wiem, za dużo powiedziane. Sauny tam nie było. Ale mogłem przekimnąć się w spokoju i nieźle zjeść. Ale to nie to samo, co wspólny wyjazd na wakacje – wyjaśnił kocur. – W każdym razie zdziwiłem się nie na żarty, kiedy Vandenberg przyniosła różową klatkę dla tchórzofretek. Najpierw

chciałem zaprotestować przeciw takiej zniewadze, zrzucając ostentacyjnie klatkę ze stołu...

– Ostentacyjnie? – podchwycił Spajk.

– Trzeba ci kupić słownik, szczeniaku. No, to znaczę tak, żeby zamanifestować, że poczułem się do głębi urażony zaproszeniem mnie, szanującego się kota medalisty, do takiej dziewczynskiej, upstrzonej brokatowymi gwiazdkami klatki dla tchórzofretek.

– Fakt, trochę dziwnie w niej wyglądałeś.

– Nedorzeczenie! Ale zdecydowałem się ten fakt przeboleć, kiedy Vandenberg powiedziała, że chce mnie zabrać ze sobą na wakacje do ciepłych krajów, do Egiptu, do kraju faraonów, piramid, zabytków ukrytych pod piaskami pustyni. Poczułem, że może jest szansa na ocieplenie między nami...

– No i dotrzymała słowa – dodał Spajk.

– Pewnie. Dotrzymała. I nawet wiem teraz, dlaczego wpadła na ten pomysł. Postanowiła zrobić z kota przemytnika!

– Słyszałem o kocie w butach. Julka czytała mi kiedyś taką bajkę, gdy była młodsza – wtrącił Biskopt. – Ale o kocie przemytniku to jeszcze nikt chyba książki nie napisał.

– No to miałbyś okazję, gdybyś potrafił pisać – przyznał zdruzgotany kocur. – Przecież jej chodziło tylko o to, by zrobić z mojej klatki doskonałą skrytkę. Kto by dokładnie sprawdzał klatkę kota medalisty, na dodatek upokorzonego z powodu wytknięcia mu nadwagi i prychającego na każdego, kto chciałby się do niego zbliżyć?

– Przemytnik z ciebie doskonały! Niezły zawodnik – zaśmiał się Biskopt. – Zawodnik wagi ciężkiej! – dodał, ale powstrzymał się od żartów, kiedy kot spuścił wzrok,

zawstydzony i swoją wagą, i naiwną wiarą w odmianę uczuć swojej pani.

– Wybacz, futrzaku! Trochę się zagalopowałem.

– Należało mi się.

– Eee tam. Nikt nie zasługuje na takie traktowanie – skwitował Spajk. – Ale co ty tam przemycałeś, kocurze?

– Oto jest pytanie! – Kot spojrzał na białą kartkę wystającą spomiędzy roztrzaskanych fragmentów latającej klatki. – Vandenberg prowadzi antykwariat...

– A tak... wiem, wiem, co to jest – zaszczekał Spajk.

Rzadko się to zdarzało, ale czasami miejsca, słowa, ludzie albo inne zwierzęta sprawiały, że do Spajka wracały wspomnienia z przeszłości. Dalekiej przeszłości. Jakby z innego życia. Jak żaden inny pies mógł zaszczekać o sobie: „Pamiętam swoje poprzednie życie, i poprzednie także, i poprzednie”. Wspomnienia były tak wyraźne, że w końcu uznał, iż nie mogą być tylko wytworem jego psiej wyobraźni.

– Mój pan prowadził sklepik z bardzo starymi przedmiotami, dokumentami, listami i książkami – zaszczekał po chwili. – Uroczy antykwariat z półkami pokrytymi pajęczą siecią, tłącymi się w rogach ciasnego pomieszczenia świecami...

– Pajęczą siecią, mówisz – wzdrygnął się Dżager. – Świecami? Kto teraz używa świec? No i pan? Przecież podróżujesz z Julią... Oj, chyba ponosi cię fantazja, szczeniaku!

Spajk nie chciał wdawać się teraz w dyskusję. I tak Dżager nie uwierzyłby mu na słowo.

– Tak, tak. To tylko moja wyobraźnia. Nie czas na to – uciął.

– No właśnie... – zamiauczał znacząco, jakby utwierdzając się w przekonaniu, że psy nie dość, że są mniej inteligentne od kotów, to jeszcze dają się zbyt łatwo ponieść fantazji.

– Dobra, kocie. Twoja Vandenberg prowadzi zatem antykwariat...

– Antykwariat. Ze starymi mapami – dodał Dżager.

– Mapami? – zdziwił się Biskopt.

– Tak. Tylko mapy. Jej dziadek handlował starymi książkami, ale ojciec wyspecjalizował się w mapach. Teraz ona prowadzi biznes i nic innego jej nie interesuje. Skupuje stare mapy i sprzedaje z zyskiem kolekcjonerom z całego świata. Wśród jej klientów są najbogatsi ludzie... Jeden z nich, pan Leoncio, przyjechał kiedyś do Vandenberg na spotkanie w antykwariacie. W złotej klatce przywiózł kotkę, cudowną Isaurę. Cóż to była za kocica...

– Dobrze, dobrze, drogi Dżagerze. Wystarczy tych ckliwości.

Kot rozmarzył się, przywołując w myślach postać przelotnie poznanej kocicy.

– Futrzaku! Futrzaku! Ocknij się! – czekał Spajk.

– A tak, tak. Wróćmy do rzeczy... Ta kartka ukryta w podłodze klatki to mapa.

– Mapa czego? – zastanowił się Biskopt.

– Nieważne. Liczy się to, że chciała ją przemycić, wykorzystując swojego najwierniejszego kocura. Mnie!

– Jak to nieważne? – zdziwił się Spajk. – A jeśli to mapa z drogą do skarbu?

Dżagerowi aż oczy rozbłyły w półmroku. Dotąd myślał, że Vandenberg przemyciała przez granicę jakąś mapę, by ją

korzystnie sprzedać. Ale ta nowa myśl wydała mu się całkiem prawdopodobna.

– Skarb! Skarb! Jeśli tak jest, musimy sprzątnąć jej ten skarb sprzed nosa! Niech ma za swoje... – wykrzyknął buńczucznie.

– Tak jest, futrzaku. I oddamy go, komu trzeba...

– Czyli komu?

– Nooo – zamyślił się Spajk. – Jeszcze nie wiem. Potrzebującym... Jeszcze się zastanowimy.

– Byle pokrzyżować plany tej wrednej... – Dżager urwał, by poszukać odpowiednio dosadnego określenia.

– Dobra, dobra. Wiem już, że masz ostry język. A teraz wyciągnij ten karteluszek swymi równie ostrymi zębami i daj mi go tutaj! – zakomenderował Spajk. – Może uda się ukryć go pod moim wdziankiem – wymamrotał, mając na myśli kamizelkę z napisem: „Pies w pracy. Nie przeszkadzaj”.

– Jak go tam wsuniesz? – zdziwił się Dżager.

– Sam nie wsunę. Ale uda się z twoją pomocą... Najpierw musisz włożyć łapę do klatki biszkoptowego dzikiego zwierza – zachichotał. – No dalej! Chyba nie stchórzysz?! Czas, żebym i ja zabawił się w przemytnika, futrzaku!



– Kochany Biskopciku! Wiesz, jak się o ciebie martwiłam?!
– zawołała rozemocjonowana Julka na widok Spajka, którego dwóch roślących Egipcjan przytaszczyło do hali odbioru bagażu na lotnisku w Luksorze.

Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie sposób, w jaki przetransportowali labradora. Przez pręty jego klatki, w której podróżował w samolocie, przecisnęli dwa długie kije w taki sposób, by klatka znalazła się pośrodku ich długości. Oparli końce kijów na swoich ramionach. Jeden z mężczyzn szedł z tyłu, drugi z przodu klatki i w ten sposób majestatycznie dotarli przed oblicze panienki Julii, jakby biskoptowy labrador był jakimś dygnitarzem, jeśli nie samym faraonem podróżującym w lektyce.

– Jaśniepan Spajk Biskopt we własnej osobie – zaszczeakał radośnie, nieźle ubawiony tą niecodzienną sytuacją. Dobrze wiedział, że nikt z ludzi jego psiej mowy nie rozumie, ale i tak nie potrafił sobie odmówić żartu.

– Kochany mój... Kiedy usłyszeliśmy hałas dobiegający spod podłogi, byłam przerażona. – Wyciągnęła do niego rękę, a po jej policzku popłynęły łzy.

– Nie ma co się rozczulać, maleńka. Trochę nami pobujało, a potem kota poniosło. No, taka sobie niezbyt duża kota-strofa, sporo strachu, a szkód tyle, co kot napłakał – zaszczekał, nadal nie mogąc powstrzymać się od swoich żartów, i gdy tylko otworzyły się drzwi jego klatki, podbiegł do czterokołowca, w którym czekała na niego Julka. Położył głowę na jej kolanach, podniósł wzrok i przeszył ją spojrzeniem tak wymownym, że żaden poeta w tysiącu słów nie wyraziłby dosadniej swojej miłości.

Tymczasem mama Julki, Tom i jego rodzice pochłonięci byli polowaniem na bagaże, które zaczynały wyjeżdżać z dziury w ścianie.

Bip! Biiiip! – przejmujący, kaleczący uszy sygnał oznajmiał wszem i wobec, że bagaże zaczynają podróż do swoich właścicieli. Przesuwały się powoli po jednym z wielu terkoczących pasów, wijących się po hali odlotów niczym gigantyczne węże.

Nagle za plecami Julki grupka osób oczekujących na bagaże parsknęła śmiechem. A śmiech ten był najwyraźniej zaraźliwy, bo po chwili śmiać zaczęli się ludzie stojący nieopodal nich, a potem kolejni.

Spajk nadstawił uszu zaciekawiony, a po chwili zsunął głowę z kolan Julki i mimo że stał twardo na czterech łapach, to najpierw nogi ugięły się pod nim, a potem zaczęły drżeć. Nie ze strachu, oj nie! Po trosze z zaskoczenia, ale nie tylko dlatego. Co prawda nie chichotał, jak to ludzie mają w zwyczaju, ale czy to oznacza, że nie mógł się od nich zarazić atakiem śmiechu?!

Po czarnym wijącym się pasie jechały ciasno ułożone obok siebie torby. Małe, duże, czarne, białe walizy, walizki, kuфry i plecaki. Tu dla odmiany niebieski parasol na plażę, tam owinięty przezroczystą folią kombinezon do nurkowania. A zaraz za nim...

– Czołem, szczeniaku! – zawołał Dżager, machając do Spajka wielką kitą przyczepioną do odrobinę przetłuszczonego tyteczka.

Julka zaniemówiła, a potem parsknęła śmiechem.

Tuż za czarnymi kombinezonami do nurkowania na pasie transmisyjnym jechały dwie połączone ze sobą płetwy nurka. A w każdej z nich utkwiona była cienka włochata noga kocura. Przednie łapy mainkun oparł natomiast o jadący przed nim zwinięty w rulon kombinezon. Wyglądało to tak, jakby kocur podróżował po ruchomym pasie, stojąc dumnie wyprostowany przed tłumem gapiów i przygotowując się do triumfalnego zanurkowania.

– Na dziką kaczkę – wymamrotał Spajk. – O kocie w płetwach?!

– Wkrótce się zobaczymy – zamiauczał do Spajka, przejeżdżając obok niego i Julki. – Będę miał was na oku. Śmignę przez kontrolę paszportową i dołączę do was po drugiej stronie. Tak jak się umawialiśmy.

– No, na poszukiwanie skarbów, owszem, ale na udział w spektaklu cyrkowym z kotem w płetwach nie zawierałem umowy – odburknął labrador, który po chwili szczerego rozbawienia zdał sobie sprawę, że przy towarzyszu takiego kalibru przebieg planowanej akcji może być trudny do przewidzenia.

Kiedy kot wraz z bagażami znalazł się w głębi holu, wyskoczył ze swoich płetw i zwinnie, znacznie zwinniej, niż można

by było podejrzewać, patrząc na nieco zbyt dużą pupę i kilka fałdek tłuszczu na brzuchu, śmignął między nogami pasażerów w stronę punktu kontroli paszportowej. Dał jeszcze kilka susów i przekroczył granicę, znikając z oczu Spajka i Julii. Wojskowi nie zdążyli nawet miauknąć. Zamiast wyciągać broń, osłupieli ze zdziwienia i tylko odprowadzili futrzaka wzrokiem do wyjścia. Potem popatrzyli po sobie, jakby chcieli upewnić się, że to nie było przywidzenie.

– Spajk, czy ty widziałeś, piesku, tego mainkuna? – nie licząc na odpowiedź, spytała Julia.

– No, nie tylko widziałem, ale prowadzę z nim interesy, maleńka – zaburczał. – Ale nie wiem, czy po takim widowisku mam cieszyć się ze współnika, czy załamać łapy.

A Julia, jakby rozumiejąc burczenie swojego przyjaciela, odpowiedziała:

– Niesamowity! Niesamowity kocur! Może go jeszcze spotkamy!? Poszukamy go po kontroli paszportowej.

– Założę się, że nie będziemy musieli go szukać – doszczekał Spajk i zaczął rozglądać się za Tomem, który powinien już nie tylko odebrać swoje bagaże, ale i dołączyć do Julki.

Julka też zaczęła wypatrywać chłopca i reszty towarzyszy.

Dostrzegła ich, pochylonych nad bagażami przy jednym z meandrów wielkiego mechanicznego węża transportującego pakunki. Wyglądało na to, że właśnie zdejmowali ostatnią walizkę.

Nieopodal Vandenberg głośno dyskutowała, o ile można było to w ogóle nazwać dyskusją, z pracownikami lotniska. Echa kłótni docierały także do Julki.

– Ale gdzie jest moja różowa klatka? No gdzie?! – krzyczała Vandenberg w jakiś diabelski, niepojęty sposób. Bo jak

można krzyczeć przez zaciśnięte, zgrzytające zęby, niemal nie otwierając ust?!

– Proszę wybaczyć. Z klatki zostały tylko strzepy. Nie było co zbierać... Ale kot był w jednym kawałku i wyglądał na zdrowego.

– Wyglądał?! Jak to? Gdzie jest mój kot?! – zagrzmiała.

Mężczyźni spojrzeli po sobie, nie wiedząc, który ma przekazać jej wiadomość.

– Zbiegł – zdobył się na odwagę niższy mężczyzna. – Bagazowi widzieli, jak wybiega z luku na płytę lotniska. Biegł całkiem żwawo... Tak żwawo, że nie zdołali go złapać. Ale zaraz spróbujemy go odnaleźć. Gdzieś tu musi być. Obiecuję...

– Co tam kot! – Machnęła ręką. – Gdzie jest klatka?! – krzyczała coraz donośniej Vandenberg czerwona jak burak. – Natychmiast proszę przynieść to, co zostało z klatki! Natychmiast! To-jest-moja-klatka!

– Co za charakter! – wymamrotała Julka i widząc zbliżających się towarzyszy, ruszyła swoim czterokołowcem w ich stronę.

– A więc to jest Vandenberg. Paniusia Dżagera we własnej osobie – szczerknął Spajk, patrząc wrogo w stronę awanturującej się kobiety. – Na mokrą wydrę, na pewno się wkrótce spotkamy.

8

– Widzę, że słońce odebrało ci mowę. Zapytam zatem raz jeszcze. Czy wiesz, kim jestem? – powtórzył, uśmiechając się do młodej dziewczyny. Sparaliżowana strachem stała na baczność przed samym faraonem pośrodku ogrodów przy świątyni w Abydos.

– Tak, panie. Znam twoje imię. – Spuściła skromnie wzrok.
– *Men maat Ra*. Oby trwała wiecznie sprawiedliwość Ra. Seti Pierwszy!

Faraon uśmiechnął się.

– Tak. Seti Pierwszy to ja. A jakie tobie imię nadali rodzice?
– dopytywał dziewczynę o blond włosach, nieczęsto spotykanych w Egipcie.

– Bentreszyt, *nesut biti*!

– A kim są twoi rodzice? – Wpatrywał się w jej jasnoniebieskie oczy, jakich nie widział u żadnej z dziewcząt w okolicach Abydos.

– Tata jest żołnierzem i stacjonuje w garnizonie w Wasit.

– A matka?

– Zmarła, kiedy miałam trzy lata. Handlowała warzywami
– tłumaczyła już nieco rozluźniona, widząc uśmiech na twarzy władcy.

– Skąd ten kolor oczu? Błada cera? Skąd tak jasne włosy?
– dopytywał zaskoczony. Co prawda w Egipcie zdarzały się kobiety o włosach blond, bywały też takie, które miały niebieskie oczy, ale rzadko te cechy występowały jednocześnie. A już w okolicach Abydos przy lewym brzegu Nilu była to prawdziwa atrakcja.

– Nie wiem, *nesut biti*. – Zarumieniła się. – Może to dlatego, że mój pradziadek, dziadek mojego taty, nie był stąd. Był Achajem, pochodził z jednej z greckich wysp. Tak ludzie mówili. Nie wiem dokładnie, gdzie to jest. Ale wiem, że daleko, daleko, za morzem. Dlatego ludzie nazywali jego i jego pobratymców „ludźmi morza”.

– Kobieta morza. – Uśmiechnął się, ale zaraz potem spoważniał i zapytał surowszym głosem, jakby przypomniawszy sobie, że jeszcze przed chwilą miał zamiar ukarać ją za hałaśliwe, zbyt wesołe zachowanie, jakie nie przystoi ludziom, którzy po wyjściu ze świątyni znajdowali się w przylegających do niej ogrodach. – Mieszkasz tu?

– Po śmierci mamy tata oddał mnie do świątyni Kom el-Sultan, tu nieopodal. Przygotowywałam się tam do roli kapłanki naszej bogini Izdydy, opiekunki rodzin, karmicielki Horusa, żony Ozyrysa, panie. Po zakończeniu nauki mogłam odejść, ale kapłan Antef zaproponował, bym została. Nie wiedziałam, co innego mogłabym robić. Złożyłam więc śluby i jestem kapłanką oddaną naszej bogini Izydzie.

– To się chwali... – Faraon nie powiedział tego z przekonaniem. Uśmiechnął się, jakby sądził, że obietnicę złożoną

jednej bogini na jego skinienie można bezkarnie odwołać.

– A ile masz lat?

– Jestem już dorosła. Czternaście... Nie powinnam. Nie powinnam tu być. Przepraszam. – I ni z tego, ni z owego zaczęła się tłumaczyć, jakby zdała sobie sprawę, że zrobiła coś niewłaściwego: – Mieliśmy próbę, panie. Kapłan Antef przygotowuje nas do udziału w misterium o narodzinach i życiu wielkiego Ozyrysa. Inne kapłanki poszły do swoich obowiązków. Ale tu jest tak pięknie. Zatrzymałam się tylko na chwilę, by ochłodzić się kroplą wody. Tylko na chwilę, naprawdę...

– Dobrze, już dobrze...

Chciał coś jeszcze powiedzieć, ale dziewczyna jęknęła:

– O! Zdaje się, że kapłan Antef nadchodzi. Będzie zły, że rozmawiam z tobą, Byku potężny, który objawiasz się w Tebach i dajesz życie obu krajom.

Faraon spojrział w stronę otwartych drzwi, którymi można było dostać się do ogrodu z gmachu świątyni w Abydos. Rzeczywiście przechodził nimi pogrążony w myślach niezwykle wysoki kapłan z wygoloną głową, w której figlarnie odbijały się promienie słońca.

– Idź. Lepiej dla ciebie, żeby nie wiedział, że ze mną rozmawiałaś...

Bentreszyt dygnęła, tym razem już znacznie zręczniejszą niż za pierwszym razem, i za pozwoleniem władcy pobiegła w głąb ogrodu, chowając się przed wzrokiem przełożonego za obsypanymi kwieciami wysokimi krzewami.

„Czuję, że się jeszcze spotkamy, Bentreszyt”, pomyślał faraon, odprowadzając ją wzrokiem.



Fragment książki wpisanej na Złotą Listę
„Cała Polska czyta dzieciom”

Tekst
Marcin Koziół

Ilustracja na okładce
Marcin Minor

Lektor audiobooka
Andrzej Hausner



Wydawnictwo Bumcykcyk

www.bumcykcyk.pl

Wydanie trzecie.

ISBN 978-83-977305-3-3

© Copyright for the text by Marcin Koziół 2017-2026

© Copyright for the cover by Marcin Minor 2026

This edition © by Wydawnictwo Bumcykcyk 2026

Projekt okładki: Marcin Minor

Redaktor prowadząca, redakcja: Dorota Koman

Korekta: Katarzyna Kusoć

Opracowanie graficzne: Magdalena Zawadzka

Portret autora: Monika Urbaniak

Łamanie: Jolanta Kotas

Nowa Iwiczna 2026

Wydawnictwo Bumcykcyk

Redaktor naczelna:

Katarzyna Chrzanowska-Koziół

www.bumcykcyk.pl

Printed in EU

Żadna część niniejszej publikacji nie może być kopiowana ani powielana w celu rozpowszechniania w jakiejkolwiek formie czy w jakikolwiek sposób bez uprzedniej zgody wydawcy.